

Kinga Wojaczek
Wydział Psychologii UW

Z działu Listy do Redakcji,
(Twój Czas – Twoje Życie, nr 7/2038)

Poranek

Godzina 6.30 rano. Budzą mnie cicho wypowiedane słowa: „Kochanie, wstawaj, już czas!” W pokoju staje się coraz jaśniej i jaśniej. Nie mam sił otworzyć oczu. Głos znów się odzywa: „Jest 6.35. Za 15 minut będzie śniadanie.” Odpywam w przerwy przed chwilą sen. Głos nie daje za wygraną. Gdy tylko mój mózg przechodzi na częstotliwość alfa, jestem poddawana przeróżnym stymulacjom. Ponieważ bodźce słuchowe okazują się nieskuteczne w pokoju zaczynają rozchodzić się pobudzające zapachy cytryn, pomarańczy, grejpfrutów. Światło staje się nieznośnie jasne. Mój mózg jednak uodpornił się na te poranne niedogodności.

Rozpoczyna się drugi – interakcyjny - etap budzenia. Łóżko powoli zmienia swój kształt. Moja głowa unosi się do góry, nogi opadają, siedzę w wygodnym fotelu. Encefalograf stojący obok wciąż wychwytuje nawroty niepożądanego stanu umysłu. Zostaję poddana funkcjonalnemu magnetycznemu rezonansowi jądrowemu. Jestem na pozycji przegranej. Obszary mojego mózgu zaobserwowane jako nieaktywne są pobudzane. Otrzymuję więc szereg, krótkich zadań werbalnych i ruchowych, które muszę wykonać, aby uniknąć podmuchów zimnego powietrza, które w przeciwnym razie jest wpompowywane do mojej sypialni. Wykonuję proste obliczenia matematyczne, recytuję numer dostępu do windy, wymieniam wszystkie państwa sąsiadujące z Unią Europejską. Wskoczyłam na fale beta.

Głos odzywa się coraz głośniejsze i mniej życzliwie: „Wstawaj! 6.40”, „No już! Zabieraj ten ciężki tyłek z fotela i jazda na śniadanie! 6.45!”. Mały plasterek na ramieniu zaczyna pulsować i po chwili spora dawka adrenaliny trafia do mojego organizmu. Gdy dociera do mózgu, automatycznie podnoszę się i... tak kończy się poranne wstawanie. Łóżko, gdy tylko odnotuje, brak mojego ciężaru, w ułamku sekundy kompresuje się do wielkości pufy. Odłączam się od urządzenia, które wciąż kontroluje pracę mojego mózgu, ściągam plastry adrenalinowe i wyłączam *budzik*.

Jak to zwykle bywa o tej porze jestem zła na cały świat i jedyne o czym myślę, to jakby się jeszcze chwilę zdżemnać. Z bagażem tych marzeń ląduję w sąsiadującym z sypialnią *pokoju diagnostycznym*. Odgórnie zarządzane procedury uniemożliwiają mi ominięcie tego etapu dnia. Diagnoza nie jest co prawda uciążliwa, męcząca, ani czasochłonna, mimo to starsznie mnie irytuje. Przez dwie minuty stoję w szklanej tubie, za pomocą której mój domowy komputer ocenia stan organizmu. Poziom cukru, cholesterol, ciśnienie, temperatura i mnóstwo innych pomiarów medycznych decyduje między innymi o moim śniadaniu. Cóż to były za piękne czasy, gdy mogłam zjeść rano francuskiego rogalika popijając go kawą... A dziś, co? Dietetyczne papki. Może i wyglądam dzięki nim lepiej, łatwiej się koncentruję i szybciej myślę, ale nawet najlepszy aromat kawy nie zastąpi jej prawdziwego smaku.

Diagnostyka sięga swoimi mackami oczywiście dużo dalej niż do śniadania. Żaden spadek kondycji na przykład nie pozostanie niezauważony. Jeżeli poranna diagnoza brzmi: słaba forma fizyczna to o teleportacji do pracy mogę zapomnieć. Zaraz po śniadaniu wskakuję na rower i, nie ma zmiłuj się, pedałuję 3 km do firmy, która w trosce o swojego pracownika uszczęśliwiła go tym wspaniałym

„*Polepszaczem Jakości Poranków*”. Aż się boję pomyśleć, co się stanie, gdy komputer zdiagnozuje nadwagę...

Rada dla Was: jeśli pracodawca zaproponuje Wam, w dowód uznania za efektywność pracy, tajemniczy system o nazwie *Polepszacz Jakości Poranków* przeczytajcie dokładnie umowę darowizny, gdzie prawdopodobnie małym druczkiem będzie zapisane: „Po zainstalowaniu systemu jedyną osobą upoważnioną do jego wyłączenia jest Twój pracodawca (zgodnie z ustawą z dn. 29.08.33 roku o Wspomaganiu Słabej Woli Człowieka, Dz. Ust Nr 133 poz. 883)”.

Sterowana Czytelniczka